



## Bronisław Młodziejowski

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0862**  
Data urodzenia: **28.05.1948 r.**  
Data nagrania: **24.04.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**  
Czas nagrania: **część I: 76 min, część II: 49 min, część III: 62 min,**  
Format nagrania: **video** **część IV: 74min**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Bronisław Młodziejowski:** Chciałbym pana zapytać, czy zaobserwował pan różnice w podejściu okręgowych prokuratur charkowskiej i kaliningradzkiej w 1991 roku? – Tak, były takie różnice wyraźnie widoczne. One, jak sądzę, były stymulowane przez gubernatorów, nie wiem, czy nadal ci gubernatorzy, nie z nazwiska, ale z funkcji, funkcjonują, i mimo obecności przedstawicieli Naczelnej Prokuratury Wojskowej wówczas jeszcze Związku Sowieckiego, którzy merytorycznie mieli z nami współpracować, byli lekarze medycyny sądowej, cywile, zarówno w Charkowie, jak i w Miednoje, no i co tu dużo ukrywać, oni się bardzo szybko uczyli. Podam taki przykład. Generał Frołow, generał prawa, jak żeśmy się dowiedzieli, w mundurze marynarskim, był niezwykle oficjalny i chciał nami zarządzać metodą palca wskazującego. I wpuścił nas w maliny w dwóch miejscach, w których żeśmy podjęli normalne działania i okazało się, że trafiliśmy na szczątki pomordowanych obywateli Związku Sowieckiego. No i wtedy, tak jak już wspominałem, pozwoliliśmy sobie z prokuratorem Śnieżką przeprowadzić rozmowę, konkretnie pan profesor Nadolski, pan prokurator Śnieżko i ja, i powiedzieliśmy, że proponujemy jednak inną metodykę badań. Poszliśmy z panem profesorem Nadolskim przez teren, wytypowaliśmy miejsca, zaznajomiliśmy z naszym typowaniem prokuratora i prokurator w sposób niecierpiący sprzeciwu powiedział, że przejmujemy inicjatywę w zakresie miejsc, w których będziemy prowadzili czynności ekshumacyjne, no i one dały niesamowite efekty. Bo chcę przypomnieć, że jedno wskazane miejsce to był grób numer 5, duży grób ze szczątkami polskich oficerów i z dużą ilością mobiliów, a drugi grób to był grób numer 22. Ja miałem możliwość pracowania właśnie przy grobie 22. Prokuratorzy merytoryczni, czyli nie ci, którzy stali na czele, tacy jak Trietiecki, Jabłokow, Rodziewicz, nieżyjący już, oni nigdy w życiu nie wykonywali takich czynności ekshumacyjnych. Oni nie wiedzieli, jakie są metody i jakie są możliwości. Oczy im się otwierały. To samo medycy sądowi, uczyli się. W Miednoje już było łatwiej, ponieważ część ekipy prokuratorskiej, wojsko-

wej przemieściła się również wraz z nami do Miednoje. Nie było tam już żadnego generała, byli pułkownicy, głównie Trietiecki był tutaj takim koordynatorem ze strony sowieckiej, i tam się działy rzeczy już zupełnie inne, ponieważ oprócz pracy merytorycznej zaczarował nas wszystkich ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, łącznie z Rosjanami, no i byliśmy wyjątkowo zdumieni pewnymi faktami, o których być może wspominałem, ale o których chcę jeszcze raz słowo chociaż powiedzieć, ponieważ poznaliśmy tych pułkowników parę tygodni wcześniej, jak dojechaliśmy do Charkowa. Byli oficjalni, byli, jak to się nieładnie mówi, po linii i na bazie, natomiast tam zaczęło z nich wychodzić ich człowieczeństwo. I jak ksiądz prałat Peszkowski odprawiał mszę na ulicy Sowieckiej, w gmachu NKWD, tam w korytarzu, którym prowadzono po kolei do tej komory egzekucyjnej, odprawił mszę i Trietiecki przystąpił do komunii świętej. Byliśmy zdumieni, wręcz ktoś tam powiedział, że ksiądz prałat już idzie na skróty, ale okazuje się, że nie na skróty, bo on z nim pracował przez parę ładnych dni. Więc zmienili się ci ludzie, zmienili się tak dalece, że zakończyły się te czynności, potem były kontynuowane inne i ci ludzie nie zmienili swojego zdania, mimo że zostali poddani represjom zawodowym. Trietieckiego zesłano gdzieś tam na wojnę i musiał być prokuratorem wojskowym z dala od rodziny, z dala od Moskwy. – A czy sam sposób prowadzenia śledztwa był inny? To znaczy wchodzimy w te procedury... – Zdecydowanie, ponieważ myśmy już rządzą. Rosjanie wiedzieli przecież, że my mamy stanowić dla nich pomoc prawną, a tak naprawdę było zupełnie odwrotnie. Oni zapewniali nam pomoc logistyczną i wszystkie dokumenty, które myśmy wytwarzali, prosili o to, czy mogą dostać egzemplarz, i je oczywiście natychmiast autoryzowali. Mało tego, zapytali nas, czy moglibyśmy im użyczyć albo odsprzedać chociaż ze dwa wiertła geologiczne, ponieważ oni mieli nadzieję, że pozwolą im ekshumować również swoich pomordowanych. Taka decyzja nigdy nie zapadła, ale też pokazuje to, że stosowana metodyka, prosta w sumie, jest bardzo skuteczna. Zmienił się sposób reagowania i myślenia tych ludzi bardzo znacznie, wyjąwszy pierwsze dwa dni puczu Janajewa, gdzie paru funkcjonariuszy z Federalnej Służby Śledczej, chociaż wtedy jeszcze było KGB, wyraźnie nie lubili się z prokuratorami wojskowymi i ci ostatni spowodowali, że zostali jakby wydaleny poza obręb wykonywanej ekshumacji. Mogli sobie siedzieć nad rzeką, sobie rozmawiać, pić wódkę czy cokolwiek innego, ale ich wyrzucili. I oni już nie wrócili do ekipy. Myśmy kontynuowali ekshumację, bo były ramy czasowe wyznaczone, i tamci już nie wrócili. Oni byli z Centralnego Archiwum z Łubianki i prawdopodobnie oni w 1990 roku przyjechali do Miednoje, to oni wskazali, jak należy wygrodzić teren, bo tam był świeży płot ustawiony, i to oni zgodnie z dokładną mapą topograficzną poosadzali stalowe rury ocynkowane o średnicy 1 cala, wbijając je w każdą jamę grobową, tak że się chowała z 10–15 centymetrów poniżej powierzchni ziemi, ale była łatwa do wykrycia przy pomocy zwykłego wykrywacza min. Natomiast w doły, w których były tylko i wyłącznie mobilia, wbili stalowe kątowniki 50 na 50 milimetrów i długości też około 1 metra. Czyli oznaczyli dokładnie teren. Natomiast jak rozpoczęliśmy prace w Miednoje w 1991 roku, oni nam nie byli łaskawi tego powiedzieć. Myśmy odkrywali, co oni znali, wiedzieli, i prawdopodobnie z uśmiechem się przyglądali, jak Polacy sobie dają radę. A myśmy trafili też w sposób przedziwny w grób, a właściwie w jamę poczwórną, na głębokości około 1 metra znaleźliśmy fundamenty latryny wybudowanej w latach 60. z białej cegły silikatowej i znaleźliśmy bezpośrednie dowody na to, że fekalia przez wypoczywających funkcjonariuszy NKWD, potem KGB, wpływały na wierzchnie warstwy ciał złożonych w tej dużej mogile. No nie było im służyć i patrzeć na to, jak potraktowani zostali przeciwnicy po śmierci. To się kłóci z filozofią myślenia o zmarłych w kulturze europejskiej, w kulturze polskiej. – Wspominał pan też przy okazji tych prętów i kątowników, że poddaliście je ekspertyzie. – Tak, myśmy ich nie badali sami, nadarzyła się okazja, a mianowicie oficer łącznikowy CIA, z którym współpracował Urząd Ochrony Państwa, załatwił wykonanie w bardzo znanym instytucie ekspertyzę metalograficzną, która pozwalała datować, kiedy

te rury zostały wyprodukowane, i okazało się, że są datowane na rok 1988, czyli wyprodukowane na dwa lata przed ich osadzeniem, kiedy na ten teren przyjechali archiwiści i oznaczyli w sposób, jak już przed chwilą powiedziałem, poszczególne jamy grobowe. Mielśmy zatem dowód, że posiadają dokładne informacje o tym, co się tam działo, natomiast konsekwentnie już przez całe lata aż do dnia dzisiejszego odmawiają ujawnienia materiałów, które miałyby rzekomo być wszystkie zniszczone na polecenie Chruszczowa w 1959 roku. Więc jeśli w 1959 roku wszystkie dokumenty zostały zniszczone, to skąd taka fantastyczna znajomość bez odkrywania choćby jednej jamy grobowej i ich lokalizacji? – Jak pan ocenia, czy zastanawialiście się nad tym, dlaczego funkcjonariusze KGB osadzili te pręty i te kątowniki w tych jamach grobowych, jamach z meblami? Czemu to miało służyć? Bo jakby w ten sposób oni się trochę obnażyli. Czy oni przypuszczali, że nigdy nie zostaną znalezione te... – Być może była to pewnego rodzaju asekuracja. Proszę pamiętać, że decyzję o ujawnieniu prawdy o zbrodni katyńskiej oficjalnie rząd sowiecki wyraził przez komunikat TASSA. To był komunikat z 13 maja [kwietnia] 1990 roku. Od razu strona polska rozpoczęła bardzo intensywne starania o podjęcie prac ekshumacyjnych. Oni myślę, że troszkę przedobrzyli, o co potem musieli mieć do siebie pretensje, że chcieli się za bardzo otworzyć. Tymczasem przywołano ich trochę jakby do porządku. „Dobrze, dobrze, w porządku, tylko tak nie za bardzo z tą współpracą, ostrożnie”. Nigdy nas nie traktowali z sympatią, wiedzieli, czym się to skończy, bośmy otwarcie o tym mówili, że powstaną cmentarze eksterytorialne, co także u części rodzin katyńskich budzi opór, bo część rodzin katyńskich chciałyby kolejnej ekshumacji, żeby szczątki przenieść do Polski. Tymczasem z punktu widzenia skutków, jakie przewiduje prawo międzynarodowe dla Rosjan, obecna sytuacja, bardzo niekomfortowa... Ktoś kiedyś powiedział, że te cmentarze są niczym czyraki na pewnej części ciała i jak by nie było, w chodzeniu, w siedzeniu, w leżeniu bardzo dolegliwe są i bolą. Tam jest świadectwo i dowód zbrodni sowieckiej na obywatelach polskich dokonanej bez sądu. Nie ma wątpliwości, że było to działanie, które przewiduje także polskie prawo, zbrodnia przeciwko ludzkości. Od tego Rosjanie się wzdragają, w żaden sposób nie chcą przyjąć do wiadomości, uważają, że jak jest wojna, to na wojnie wolno wszystko. A okazuje się, że tak nie jest. – Taka mentalność sowiecka to jest. – Zdecydowanie. Ona jest zresztą kontynuowana, w tej chwili jest nawet uwstecznienie, od czasów, kiedy Putin dostał się do władzy, to wyraźnie widać, że to wszystko wyhamowało. – Czyli można przypuszczać, że te pręty i te stalowe kątowniki, one miały być aktem dobrej woli, że... – Dobrej woli, tak. – Ktoś to po prostu przyblokował i nikt tego... – No bo oni nam równie dobrze mogli powiedzieć, „macie tam odtąd dotąd, gdzieś sobie szukajcie”. A oni jednak ten narożnik tego wielkiego terenu wygradzili świeżym płotem, na sosnach, które tam rosły, były resztki drutu kolczastego. Widać było, jak to ogrodzenie przebiegało pierwotnie. Oni wygradzili, oznaczyli i rozebrali trzy domy. Tam stały trzy drewniane domy pomalowane na kolor zielony, co docent Głosek natychmiast ujawnił po 15 minutach, jak mówi: „Przebiegnę się po terenie”, powiedział, z jakiej cegły była zrobiona podmurówka. Nie da się usunąć, okazuje się, śladów, nawet jeśli poszycie lasu sprawia wrażenie, że wszystko jest idealne. – I należy jeszcze, rozumiem, przypuszczać, że w pewnym momencie ktoś przyblokował tę dobrą wolę, tak? – I dlatego... – Tak. Oznaczono, ale zapomniano nam o tym powiedzieć. – Teraz przejdźmy do drugiej fazy prac ekshumacyjnych, do lat 1994–1995. – Zupełnie coś innego. Przy ekshumacjach w 1991 roku oni się ciągle bali. Za krótki był czas od tej pierestrojki i wyraźnie mówili, że wolą nie rozmawiać o tych rzeczach, bo ściany mają uszy i po co sobie kłopot na głowę brać po tylu latach. Ci ludzie byli po tylu latach przestraszeni jeszcze na początku lat 90. – Jeszcze bym chciał wrócić do tych negocjacji. To znaczy, jak rozumiem, negocjacje głównie odbywały się na terytorium Rosji i Ukrainy? – Tak. – Mówię o 1993 chyba roku. – Tak. Ukraina nie. Tylko i wyłącznie Moskwa i urzędy centralne. – A od podpisania umowy o współpracy, czy pamięta pan te okoliczności? – Podpisywał pan

minister Andrzej Zakrzewski. Ja nie byłem obecny przy podpisaniu. Wiem, że podpisanie zostało skwitowane przez Rosjan zaproszeniem nas do ośrodka rządowego pod Moskwą, gdzie zobaczyliśmy, jak lud rosyjski konsumuje żywkami kawior, łososie, kalmary, homary i co sobie kto tylko wyobraża. Zawieziono nas właśnie do takiego ośrodka, gdzie nas ugoszczono, co było podsumowaniem podpisania porozumienia. Pan minister Andrzej Zakrzewski był wyraźnie ukontentowany podpisanym porozumieniem, które później zostało zrealizowane. Nie byłem przy podpisywaniu. – Natomiast to porozumienie otworzyło drogę tej drugiej fazie ekshumacji i między innymi powołaniu pana na szefa całej ekipy... – Też w Miednoje? – W Miednoje, tak. Proszę powiedzieć o okolicznościach powołania pana na tę funkcję. – Ja nie wiem jak to się stało. Ja nie zabiegałem. Jakieś musiały się odbywać konsultacje. Decyzję podejmowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Przewodniczącym był pan Broniewski, Sekretarzem Generalnym pan Andrzej Przewoźnik. Krótko mówiąc, ja dostałem zaproszenie do siedziby rady i spotkaliśmy się w radzie z profesorem Kolą i z profesorem Głoskiem i tam zaczęliśmy się zapoznawać z dokumentami, które zostały dla nas przygotowane, formalnie mocującymi nas w funkcji kierownika, gdzie były bardzo dokładnie wyspecyfikowane nasze obowiązki i nasze prawa. Zostaliśmy także poinformowani, że kierownictwo rady państwo postanowiło wyposażyć, każdego z kierowników, w kwotę 3 tysięcy dolarów jako taką rezerwę na różne nieprzewidziane sytuacje, które mogą zaistnieć, ponieważ było to spore przedsięwzięcie logistyczne. Tyle tylko, że w porozumieniu, o którym przed chwilą mówiłem, pan minister Andrzej Zakrzewski wynegocjował również i to, że gospodarze, czyli strona rosyjska w dwóch przypadkach i strona ukraińska, musiały zapewnić wszystkim członkom ekipy godziwe miejsce wypoczynku i muszą nas utrzymywać, czyli zapewnić nam wyżywienie. Strona polska poza zgromadzeniem specjalistów, wyposażeniem ich we wszystkie niezbędne urządzenia i materiały zasilła nas delegacją taką, jak przewidywały przepisy. Krótko mówiąc było to, żebym nie skłamał, chyba 4 dolary dziennie, taka była dieta. I taką dietę dostawał zarówno kierowca samochodu, jak i kierownik ekipy. Nie było formalnie żadnego wynagrodzenia za prowadzoną pracę. Dopiero po zakończeniu prac w 1994 roku i w 1995 roku zostałem zobligowany do przedstawienia mojego autorskiego sprawozdania i za tę dokumentację, tak jak pamiętam, otrzymałem wynagrodzenie 10 tysięcy złotych. To była pierwsza połowa lat 90. – Po tym, jak się pan dowiedział o tej nominacji tak naprawdę na szefa ekipy przystąpił pan do organizacji całego... – Tak. – Jak pan dobierał sobie współpracowników, jak pan podzielił, kogo pan widział? Rozumiem, że charakter zmienił się w 1994 roku tych prac... – Zdecydowanie tak. Ja wiedziałem, że będziemy ekshumowali wszystkie jamy grobowe, że będziemy mieli do czynienia z bardzo dużą ilością zwłok w późnej przemianie pośmiertnej, że będą trudne warunki pracy. Stąd postawiłem na młodych, zdeterminowanych ludzi, przede wszystkim z Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Siedmioro studentów, bo była również wśród nich kobieta, odbyło ze mną rozmowę, która to rozmowa miała im uświadomić, jakiego rodzaju praca będzie wykonywana i czego będę od nich oczekiwał. Podobnie było z przedstawicielem Straży Granicznej. Ja się zwróciłem do komendanta głównego Straży Granicznej z zapytaniem, czy by nie widział jednego ze swoich przedstawicieli w ekipie, i wyjaśniłem, co by robił, miałby być głównym depozytariuszem, i rzeczywiście został delegowany wówczas major, pan Henryk Łagód, znakomicie pracujący w Miednoje. Całość ekipy została przyjęta przed wyjazdem przez pana ministra Andrzeja Milczanowskiego, który powiedział, że jest dla niego zaszczytem w sytuacji takiej jak ta, żeby w ten sposób oddać hołd i cześć naszym poprzednikom, on się w tę opcję wpisuje, przy czym wiedział, że w Miednoje nie ma jego ojca. Dopiero w trakcie prac w Miednoje pan Jędrzej Tucholski dostał pewne materiały przez polską ambasadę, z których wynikało, że ojciec pana ministra Milczanowskiego znajduje się na liście pomordowanych tak zwanej ukraińskiej, ale nie leży w Charkowie, tylko pod Kijowem. Więc minister z pewnością tego nie robił z punktu widzenia prywatnego inte-

resu, choć nie ukrywał, mówił, że „szukam swego ojca”. Wiedział, który z członków ekipy ma także swoich krewnych, i mówi, jest to nasze wspólne dzieło, bo, mówi, „Pamiętajcie, że jesteście ambasadorami rodzin katyńskich, które czekają na każdy strzęp informacji o swoich bliskich, o tym, co robicie i jak robicie”. Więc to było niewątpliwie dla nas z jednej strony zaszczytem, a z drugiej strony sporym obciążeniem. Myśmy mieli świadomość, że tysiące oczu się na nas patrzy, że musimy godnie reprezentować tych, którzy nie mieli możliwości przyjechać. – Kto jeszcze stanowił trzon tej pana ekipy? Oprócz, rozumiem, że... – Funkcjonariuszy, tak, którzy byli głównie rewidentami i depozytariuszami, musiałem się oprzeć na kilku specjalistach, którzy wykonywali może nie takie ekshumacje, w takiej skali, ale wykonywali prace eksploracyjne, a więc przede wszystkim archeolodzy, a także medycy sądowi. W medyków sądowych, tak w cudzysłowie, wyposażył mnie nieżyjący już profesor Aleksander Dubrzyński z warszawskiej Katedry Medycyny Sądowej i to była pani doktor Brzozowska przede wszystkim, i był też jeden młody człowiek, który niestety po ekshumacjach przestał wykonywać zawód lekarza, tak mu się życie ułożyło. No i miałem dwóch archeologów z Łodzi, bardzo zacnych, bardzo dobrych. No ale jak się okazało, praca, którą żeśmy wykonywali, była cięższa niż sami ocenialiśmy. Jeden z archeologów nie wytrzymał psychicznie. Nie było mowy o żadnym alkoholu. On po prostu szedł w ostrą psychozę reaktywną, kiedy zobaczył ogrom tej zbrodni nie werbalnie, tylko na własne oczy i własnymi zmysłami odczuł. Spowodowało to, że podjąłem decyzję o natychmiastowej jego ewakuacji i kolega, właśnie major Łagód, wsadził go w samochód, zawiózł go do Moskwy, dopilnował na lotnisku, żeby wsiadł. Leczył się półtora roku, zanim został przez psychiatrów uznany, że udało się. Było to dla niego pewnie straszne doświadczenie, a ja bolałem nad tym, że trochę przeceniłem umiejętność... Zresztą ja wspominałem o tym poprzednio. Tam nie było twardych. Nie można było tam być twardym. Jeśli ktoś był twardym na zewnątrz i się trzymał, to w psychice się wszystko gotowało, to potem była reakcja po powrocie. Ja zawdzięczam swojej żonie, swojej rodzinie, także wielu, wielu kolegom z pracy, także przełożonym, że udało mi się w miarę szybko z tego wyjść. Natomiast, jak pan jest zorientowany, nie przygotowuję się do naszej rozmowy, nie mam zresztą żadnych materiałów. Lat minęło bardzo wiele, w moim życiu się wydarzyło bardzo wiele, zrobiłem dziesiątki, tysiące spraw bardzo ciekawych w międzyczasie, a ja tamto pamiętam prawie tak, jakby to się wydarzyło parę dni temu. Więc to pozostaje w umyśle na zawsze. Tego się nie da wymazać, nie da się przytłoczyć. I chyba nie trzeba tego czynić. – Wspominał pan ostatnio, że próbował pan w sobie zdusić, to odbiło się jednak przeciwko panu. – Zdecydowanie, tak. Popełniłem błąd. Tak że dopiero działanie pokazuje, że nie wszystko, co w teorii się zgadza, jest zweryfikowane przez praktykę. Praktyka rządzi się swoimi własnymi prawami. – Proszę powiedzieć, kiedy pan po raz pierwszy się spotkał z całym zespołem? Czy to było jeszcze w Polsce? – W Polsce, w Polsce, tak. – Pamięta pan, co pan powiedział na pierwszym spotkaniu? Jakie słowa pan skierował do osób wybranych... – Byłem twardy, byłem może trochę i szorstki, do tego stopnia, że uczestniczący w spotkaniu ksiądz pułkownik Tadeusz Dłubacz, ówczesny proboszcz Katedry Polowej Wojska Polskiego, trochę na mnie najechał i powiedział, żeby mnie straszył tutaj ciężką pracą, bo oni się i tak mnie nie boją. A ja powiedziałem, że sprawa nie jest w tym, czy się będą mnie bali czy nie, natomiast muszą bardzo dokładnie wiedzieć, że kierownik jest jeden i że wszyscy pracują na kierownika, a kierownik w zamian za to wprowadza ich w arkana i jest lojalny w stosunku do wszystkich członków ekipy. To musi działać dokładnie w dwóch kierunkach. Uzmysłowiłem im, że mają pewną szansę wpisać w swój życiorys coś niezwykłego, coś niezwykle pożytecznego, choć z drugiej strony bardzo trudnego. Nie wszyscy zdali egzamin. Już po powrocie okazało się, że nie wytrzymali. – A w jakiej atmosferze wyjeżdżaliście do Rosji? – Zdobyć świat, wyjaśnić wszystko, pokonać wszelkie trudności. Byliśmy nastawieni bardzo optymistycznie i w myśl tej koncepcji, że jesteśmy w stanie to zrealizować, wzajemnie się podtrzymywaliśmy i realizowaliśmy. Właściwie

ja jako kierownik miałem w sumie mało roboty z ludźmi. Oni się dostosowali bardzo, bardzo szybko. Zasada jest bardzo prosta. Wszyscy patrzą, co robi i jak pracuje kierownik. Jak kierownik pracuje źle, jak popełnia błędy, jak poucza tylko innych, jak mają robić, a sam się do tego nie stosuje, to już jest po kierowniku. Kierownik jest oglądany przez podwładnych na okrągło. Miałem tego pełną świadomość. To taka dziwna sytuacja, kiedy obserwują cię podwładni i obserwują ci, którzy mieli wspomagać, którzy raczej podglądają, podsłuchują, bo to wszystko służby były. I tak życie w 1994 roku miesiąc, a w 1995 roku trzy miesiące na totalnym podglądzie, 24 godziny na dobę, wymaga pewnej odporności psychicznej. – Rozumiem, że mieliście świadomość tego, że jesteście obserwowani, podsłuchiwani? – Mieliśmy dowody na to, tak. Jak się zdarzyło raz zrobić nam odprawę w motelu Twer, w którym mieszkaliśmy, i tam wydałem określone zalecenia, pojechaliśmy rano do Miednoje, tych 30 kilometrów, i część poleceń, które miały zapaść dopiero w Miednoje, już zostało przez Rosjan wykonane. Więc też się trochę pośpieszyli. No ale w ten sposób uświadomili nam, że jesteśmy na widoku. Stąd każdego dnia, podsumowując miniony dzień, co zostało zrobione, kto jaką dokumentację sporządza i kto mi składa do której godziny cząstkowe raporty, chodziliśmy do lasu na odprawę. I skończyło się takie nachalne podglądanie. Natomiast kierownik był cały czas, na okrągło. – Do Rosji pojechaliście autobusem, tak? Wspominał pan o tym, że... – Tak, w 1994 roku. Dostaliśmy autobus i dostaliśmy, pamiętam, granatowego poloneza. To były dwa pojazdy, które na polecenie ministra Milczanowskiego dał komendant główny policji wraz z obsługą, z kierowcami. Myśmy już wtedy wiedzieli, o czym wspominałem, że będziemy realizowali stanowisko, które nie zostało ujawnione przez Rosjan, a które wskazał nam jeden z poszukiwaczy takich resztek powojennych, no i właśnie na tym poligonie czołgowo-rakietowym w miejscowości Zawołzski, to jest połowa drogi między motelem Twer a Miednoje, tam właśnie żeśmy w niedzielę znaleźli bardzo dużo elementów wyposażenia, bez żadnej dyskusji pochodzących od pomordowanych, którzy wcześniej byli więzieni na wyspie Stołbnyj na jeziorze Seliger. – To były mobilia, które, jak pan szacował, zostały złożone już po... – Gdzieś około 1964–1965 roku. Myśmy wydatowali czas złożenia tych mobiliiów na podstawie oceny wieku drzew, które rosły na wjeździe do dołów czołgowych. Jeśli wyrosła brzoza z jednej, z drugiej strony, której pień wyraźnie wskazywał, ile lat minęło od jej zasiańcia się, bo to były samosiejki, mieliśmy pewność, że to nie były czasy związane z decyzją z 5 marca 1940 roku, tylko przetrzymywane były gdzieś, w jakichś magazynach. Ale co było ważne? Te wszystkie manierki, menażki, talerze, które przedziurawiono stalowym szpikulcem, żeby pozbawić ich cech używalności, jeśli nawet ktoś znajdzie, żeby sobie tego nie chciał wziąć, powstały, o czym świadczyły ślady mechanoskopijne, świeżo przed wyrzuceniem. No ale i tak, jak by na to nie patrzeć, rok 1964, a my jesteśmy trzydzieści lat później. – Te mobilia, one były zasypane? – Tak, one były przysypane. Tam była gleba piaszczysta. I to zostało zrobione w sposób najprostszy dla tych, którzy wykonywali polecenie. Mianowicie był dół na pomieszczenie czołgu czy transportera, tak żeby się chował zupełnie i wieżyczka żeby nie była widoczna, i oni wnieśli te mobilia chyba w jakichś pojemnikach, wysypali, a następnie weszli na tak zwaną burtę, zaczęli skakać, osypała się ziemia i przysypała. Tak że to było częściowo przysypane i dzięki temu tamten znalazł wykrywaczem metali elementy wyposażenia, a myśmy ich potem znaleźli setki. Wszystko to zostało przywiezione do Polski. Wszystko jest w Muzeum Katyńskim. – Prosiłbym teraz o powiedzenie dosłownie w kilku słowach, czym charakteryzował się ten wyjazd w 1994 roku, a czym w 1995 roku? Co było różnicą w waszej pracy? – Różnica była bardzo istotna. Rok 1994 to prace sondażowe. Naszym zadaniem było zlokalizować na wygrodzonym terenie wszystkie doły śmierci, a okazało się również, że znajdują się tam trzy doły z mobiliami. Dysponowaliśmy niesamowitym wsparciem, ponieważ rząd polski delegował wojskowych geodetów z najnowocześniejszym sprzętem do sporządzania map przy pomocy GPS-u, co było wtedy zupełną nowością, i zgodnie z tym, co myśmy

zrobili, oni wszystko nanieśli na mapę. Powstała dokładna, szczegółowa mapa, stąd wiedzieliśmy, jaki kształt, jak i wielkość i wzajemne usytuowanie każda jama grobowa ma względem siebie. A proszę pamiętać, że na części tego terenu poszło zalesianie. 1940 rok, posadzone małe drzewka, my jesteśmy w 1994 roku, one już wyrosły na wysokie, grube drzewa. Wiedzieliśmy, że nie sadzono sosen bezpośrednio na jamach grobowych, stąd nie trzeba było ani jednego drzewa zniszczyć. Mogliśmy wytyczać granice w obrębie pomiędzy pniami drzew i to się nam dokładnie sprawdziło. Zresztą dzisiaj w Miednoje każda przez nas odkryta jama grobowa co do kształtu, wielkości jest zachowana w takim samym stanie. Dokładnie wyznaczone są granice każdej jamy. Są to groby zbiorowe, jest ta wielka ściana z tymi żeliwnymi tablicami i z odlanymi nazwiskami wszystkich pomordowanych. Natomiast pozostały oznaczone jamy grobowe w kształcie, jak myśmy je zamknęli. Wszystkie szczątki święcił ksiądz prałat Peszkowski. – Szczątki... Bo, rozumiem, to już jest 1995 rok, ale wszystkie szczątki wróciły w te same miejsca... – Dokładnie tak. – Czy są nowe miejsca spoczynku? Nie. Po całkowitym wyekshumowaniu szczątków w roku 1995, po ich szczegółowym zbadaniu i zrewidowaniu, po zabezpieczeniu wszystkich mobiliów, także tych ukrytych, bo okazuje się, że policjanci chowali pewne elementy, okazało się, że nie tylko osobiste, jak na przykład obrączka, bo to było coś, co było tym ogniwem łączącym z rodziną, która była daleko, daleko, dużo elementów, które podkradali Sowieci i chowali po to, żeby dać dowód. Zasztywali w płaszcze, zasztywali w cholewy wysokich butów, policjanci nosili wtedy buty wysokie, tak zwane oficerki, no i tam misternie były pozasztywane, stąd każda para butów była dokumentowana nie tylko fotograficznie, ale trzeba było ją mozolnie rozpruć. Były to badania destrukcyjne, ale nie było innej możliwości. Także zostaliśmy... – Miało to miejsce w 1995 roku, tak? – W 1995 roku. – Zaraz do tego może wrócimy jeszcze, bo chciałbym jeszcze dokończyć ten 1994 rok. W jaki sposób te prace sondażowe były przeprowadzane, w jaki sposób odkrywane były te jamy grobowe? – Nie odkrywaliśmy jam grobowych. Myśmy wykonywali odwierty wiertłem geologicznym i ponieważ tam sytuacja była taka, że zwłoki znajdowały się w wodzie, ponieważ spód każdej jamy grobowej stanowiła warstwa geologiczna iłów i glin nieprzepuszczających wody, stąd woda z opadów atmosferycznych i z topniejącego śniegu wpływała do jam grobowych i ona wskutek przeobrażeń późnych pośmiertnych, przemiany tłuszczowo-woskowej, która to substancja jest agresywna chemicznie, barwnik z płaszczy, z mundurów granatowych policjantów mieszał się z całą zawartością jamy grobowej. Wystarczyło, że trafiliśmy wiertłem, bo się robiło wiele coraz bardziej zagęszczających otworów, próbka na końcu granatowa, wiadomo, jesteśmy w grobie, więcej nie kręcimy, kolejne, kolejne, kolejne. I metodą spirali pracując, mogliśmy wyznaczyć dokładne granice, jaki ma kształt jama grobowa. Krótko mówiąc, naniesiona i sporządzona mapa stała się później, za rok, podstawą do systematycznej ekshumacji każdej jamy grobowej. – A proszę powiedzieć o tej spiralnej metodzie wyznaczania granic, bo to zawsze nas interesowało i też takie otrzymywałem pytania, w jaki sposób określone były granice tych jam grobowych po tylu latach, jak to można było rozpoznać? Tutaj wspominał pan już, że pewną informację dawały nam drzewa, tak? – Zdecydowanie, ukształtowanie terenu. – A pewność? Jak w jaki sposób zdobywano pewność, że taki... – To właśnie odwierty, o których powiedziałem. Oczywiście nie każdy odwiert był trafiony. Były odwierty, w których nic nie było. Myśmy się przesuwali tak zwanym ruchem konika szachowego, czyli troszeczkę po omacku, i dopiero trafienie powodowało, żeśmy traktowali ten punkt, jak się najczęściej okazywało, niesłusznie, że to jest punkt centralny jamy grobowej. Otóż nie. Dopiero spiralne posuwanie się w odwiertach, dokładnie co pół metra, dało nam podstawę do stwierdzenia, że przesuwamy się z jamą, bo ona idzie bardziej w tym kierunku. A można było taką jamę dookoła obwiercić pustymi, czyli negatywnymi, próbkami. Wiedzieliśmy, że już na zewnątrz nie ma szczątków, tylko są dokładnie w tym miejscu. Jest jeszcze jeden element. Ja nie miałem w 1994 roku wykrywaczy metali. Gdybym je miał,

o czym żeśmy jeszcze nie wiedzieli, że te rury były wbite, bo to w grobie numer 4 w 1991 roku potraktowaliśmy jako artefakt po tych daczach, które tam stały, ktoś porzucił, jakoś żeśmy nie zwrócili na to uwagi. Gdybym miał, to bym nie musiał przez miesiąc intensywnie z całą ekipą i z geodetami pracować, bo bym po prostu wykrywaczem wskazał i bym wykonał połowę odwiertów mniej. To dopiero nam wyszło w pierwszych dniach pracy w 1995 roku, że mamy wbite rury stalowe. – Jak długo trwały prace w 1994 roku? – Około miesiąca. – Kto wyznaczył tę datę? – Data nie była zakreślona z góry. Myśmy mieli pracować tak długo, aż sporządzimy kompletną dokumentację i zlokalizujemy groby, przy czym wiedzieliśmy już z przekazów, z innych dokumentów, że średnio wywożono partię osobową liczącą około 220–250 ludzi. Oni musieli przejść przez zamarznięte jezioro Seliger do najbliższej linii kolejowej i tam ich ładowali w bydłące wagony, przewożeni byli do Tweru i samochodami przewożeni do siedziby NKWD. Ta siedziba NKWD piwnice miała duże, ale też ograniczone. Więcej ludzi nie można było tam zmieścić. I należało przypuszczać, że kolejna jama grobowa powstanie wtedy, kiedy tak zwana partia przywiezionych ludzi zostanie zamordowana, wywieziona tam, wrzuci się z burt samochodu, co też żeśmy udowodnili, w sposób beztadny i nieuporządkowany, zostały te zwłoki ubite i zasypane nadkładem grubości około półtora metra ziemi pochodzącej z wykopów. Tam zresztą Rosjanie stosowali taką swoistą koparkę, których się już dzisiaj nie spotyka. Mianowicie wyglądało to trochę jak gąsienica czołgu, to znaczy czerpaki chodziły po takiej taśmie, nie było ramienia jak się we współczesnych w koparkach wykorzystuje, z napędem hydraulicznym, tylko taka taśma z czerpakami się przesuwiała, zagłębiała się coraz bardziej, wyrzucała ziemię. Bo znaleźliśmy wycięte w profilach grobów dokładnie co do szerokości i lokalizacji, miejsca, gdzie ta gąsienica z tymi czerpakami doszła. Okazuje się, że w archeologii i z wykorzystaniem metodyki archeologów dochodzi się i rekonstruuje przebieg zdarzeń takich bliskich, którymi się normalnie archeolodzy nie zajmują, bo oni mają czasy bardziej odległe w swoim zainteresowaniu. Tymczasem metodyka archeologiczna w pełni znalazła zastosowanie. – Też to, o czym pan mówi, potwierdza to, o czym mówił Tokariew w śledztwie, że tam używano maskowania, zasypywania... wykopywania w zasadzie grobów mechanicznie na tych koparkach. Dlatego się zacząłem zastanawiać, czy po prostu próba odkrycia terenu nie pokazałaby nam tych granic. Rozumiem, że skuteczniejszą metodą była sondażowa? – Sondażowa, tak, zdecydowanie. Ona była bardzo efektywna, ona nie powodowała dewastacji, bo Rosjanie bardzo oponowali, żeby drzew nie powalać. Staraliśmy się pracować tak, żeby nie wywoływać konfliktów, i uznaliśmy, że skoro drzewa nie stoją w jamie grobowej, to nie ma powodów, żeby je ruszać. – Proszę powiedzieć, dlaczego 22 września zakończyły się prace w 1994 roku? Dlaczego prace nie były kontynuowane jeszcze tego samego roku? – Strona rosyjska na to nie wyraziła zgody, motywując tym, że w końcu września i na początku października bardzo często spada tam już śnieg. I że zaczęlibyśmy prace, i że nic albo prawie nic nie można byłoby zrobić, rozpocząć tylko. Dlatego zaczęliśmy w następnym roku w czerwcu, ponieważ także nam powiedziano, że klimatycznie Twer często jeszcze na 15–20 maja jest pokryty śniegiem w lasach. Późno przychodzi wiosna i wcześniej przychodzi zima. Więc te argumenty przeważyły, że kierownictwo polskie podjęło decyzję, żeby zrobić sondaże, przyzwoicie, solidnie udokumentować kartograficznie, a w następnym roku przystąpić do metodycznej, całościowej ekshumacji. – Co działo się pomiędzy? Czy jakieś prace były prowadzone przygotowawcze? – Tak, myśmy gromadzili wyposażenie, urządzenia, które nam były potrzebne, odzież ochronną, szukaliśmy decyzji u przełożonych, które nam to umożliwiały, bo proszę sobie wyobrazić, że nie każdy identyfikował się z potrzebą dokonania tej pracy na najwyższym poziomie. Nie chcę tu mówić o nazwiskach i o stanowiskach, ale trochę potem, po latach, doszedłem do wniosku, że koniunktura także zmienia człowieka. Wtedy trzeba było reagować tu i teraz, trzeba było podejmować decyzje o udzieleniu maksymalnego wsparcia. Ze strony ministra Milczanowskiego to wspar-

cie było zawsze. Niżsi rangą urzędnicy w służbach niekoniecznie i nie zawsze. Choć nie mieli ku temu żadnych powodów. Na zasadzie: muszę swoje zdanie wygłosić. – A czy w trakcie tych pierwszych prac sondażowych w 1994 roku na szczeblu kierownictwa tych trzech projektów ekshumacyjnych, czy się spotykaliście, czy były jakieś spotkania? – Nie. Myśmy przed wyjazdem uzgadniali i rozdzielali sprzęt, wiertła. Rozdzieleni zostali specjaliści, głównie archeolodzy, na poszczególne ekipy i ja wtedy właśnie poznałem archeologów, którzy potem już w ekshumacji pracowali w następnym roku. Uznałem ich kwalifikacje wysokie. Pracowali na wielu wykopach, a więc dawali gwarancję zrealizowania postawionych celów. Potem, po wykonanej pracy, spotkaliśmy się kilkakrotnie w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i każdy z kierowników zdawał sprawozdanie w obecności całego składu rady, co uzyskano, jakie są efekty, jakie są perspektywy przed mającym nastąpić w następnym roku już dużym zakresem prac ekshumacyjnych. – I jeszcze chciałbym zapytać o ten początek waszego przyjazdu w 1994 roku na miejsce zbiorowych grobów. Czy zauważył pan jakieś zmiany z tego, co pan zapamiętał w 1991 roku? – Nie, tam... Tam była taka sytuacja, że w 1991 roku w do Miednoje delegowano byłego majora KGB, który później odszedł, jak powiedział, do cywila i został merem Miednoje. I tenże pan dogadał się z Andrzejem Przewoźnikiem, że do czasu powstania cmentarza będzie chronił ten teren przed ludźmi, którzy dowiedzieli się, że tu przyjechali Polacy, że ekshumowali, i też widzieli, jak żeśmy wyjmowali precjoza z grobów. Teren leżący poza wsią, bez kontroli, byłby łatwym łupem rabusiów. On tego doglądał. On dostawał jakąś tam zawrotną kwotę 200 dolarów miesięcznie, co dla niego było strasznie dużo, i on autentycznie podejrzewamy, że połowę swojego czasu służbowego przeznaczał na pilnowanie miejsca w Miednoje, co z punktu widzenia polskiego było bardzo korzystne. Nawet już po otwarciu cmentarza przez pana premiera Jerzego Buzka, a byłem przy tej wizycie obecny i byłem członkiem przyjeżdżających, on miał podpisaną już umowę. On już tam z zespołem ludzi dzień po dniu pilnuje cmentarza. Nawet jak żeśmy w roku 2009 późną jesienią pojechali na taką konferencję w Twerze i stacja Polskiej Akademii Nauk w Moskwie zaprosiła trzech profesorów z Polski, był profesor Andrzej Misiów, byłem ja i był jeszcze jeden kolega z Łodzi, i pojechaliliśmy autobusem wraz z pracownikami ambasady po to, żeby złożyć wieńce i kwiaty, nie z powodu specjalnej okazji, tylko akurat byliśmy i chcieliśmy, to proszę sobie wyobrazić, że po znacznych opadach śniegu wyjechaliliśmy z Moskwy gdzieś koło godziny ósmej rano, na jedenastą byliśmy na miejscu, a tam cały śnieg był odgarnięty, wszystko tak, jakby się spodziewali delegacji państwowej. I oni mówili, że oni tak po prostu traktują tę swoją pracę. Czyli jest ta pamięć, jest ta opieka, o Polakach. Że wspomagana finansowo, no to cóż. – Można powiedzieć, że na całe szczęście... – Na całe szczęście, że są tacy, którzy to chcą robić. – Ale że też nie doszło do ograbienia tego miejsca... – Doszło do ograbienia. – Ale to chyba w późniejszym okresie, tak? – W 1995 roku. – Ale nie pomiędzy 1991 i 1994. – Na pewno nie. W 1995 roku, to ja o tym wspominałem, po otwarciu pierwszych grobów było przecież tak, że w ciągu jednego dnia nie można było wyeksplorować wszystkich szczątków, bo był ogrom prac z tym związanych. I dali nam zapewnienie, że miejsce ekshumacji jest pilnowane przez żołnierzy. Ale ci pilnujący najprawdopodobniej stali się rabusiami. Ja przyjeżdżam następnego dnia i widzę, że coś się nie zgadza. A mam dobrą pamięć wzrokową, wiedziałem, jak pozostawiłem szczątki, w którym miejscu, a one są poprzemieszczane, i z tego wniossek, że buszowali. I wtedy Andrzej Przewoźnik podjął zdecydowaną decyzję, że wszystkie kosztowności, w tym także oproteżowanie, obligatoryjnie wyjmujemy, sporządzamy szczegółowo dokumentację, przejmuje depozytariusz depozytu wartościowego. no i później te wszystkie elementy, także uzębienia, znalazły się w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. No źle się stało, że Andrzej Przewoźnik nie udostępnił tej informacji rodzinie, że przechowywał w szafach pancernych w Radzie Ochrony Pamięci, już nawet nie wiem, kto mnie o tym zawiadomił, że trzy czy cztery osoby złożyły zawiadomienie

do prokuratury, jakoby dokonana się profanacja zwłok, gdy tymczasem cel, który temu przyświecał, był dokładnie, totalnie inny. No ale przykro jest, jak człowiek się dowiaduje, że go ktoś posądza nie wiadomo o co, a zupełnie co innego było na celu. Ale co zrobić. Trzeba się liczyć z tym, że nikt nie będzie głaskał po głowie. – Jeszcze przy okazji, jak pan wspominał pana Andrzeja Przewoźnika, chciałem zapytać, czy on był obecny przez cały okres prac? – Nie, Andrzej Przewoźnik przyjechał dwa razy. Przyjechał na zakończenie prac sondażowych i przyjechał raz w trakcie prac ekshumacyjnych. Proszę pamiętać, że on tu sekretarzował Radzie Ochrony, koordynował z kraju całość prac realizowanych, bośmy przecież zdawali relacje codzienne i cotygodniowe, no a miał do wizytowania trzy odcinki. Podróżowano samochodem, a nie samolotem, sam przejazd, to są trzy dni drogi w jedną stronę. Ale wizytował i zabierał ze sobą przedstawicieli rodzin katyńskich, rodziny policyjnej, 1939, w osobie pana Witolda Banasia. To tak pamiętam, bo w komputerze mam dwa zdjęcia, jak akurat relacjonuję Andrzejowi Przewoźnikowi i panu Banasiowi, jaki jest stan prac na dzień ich przyjazdu do Miednoje. Też wtedy zauważyłem panią Zuzannę Gajowniczek, która później w archiwum pracowała i też przyczyniła się w dużej mierze do sporządzenia dokładnej dokumentacji dotyczącej pomordowanych. To już takiej indywidualnej bo ona, zdaje się, że była redaktorem jednej z ksiąg cmentarnych. – Jednej z ksiąg, tak. – Jak się zakończyły w 1994 roku te prace sondażowe? Czy były jakieś uroczystości? – Nie, uroczystości nie było. Przyjechał prokurator Śnieżko, mimo że to już było poza śledztwem, przyjechał Andrzej Przewoźnik, były te osoby towarzyszące, o których mówiłem, i w siedzibie gubernatora w Twerze odbyło się takie spotkanie w takim dużym gabinecie, w którym omówiono przeprowadzone prace, no i tamże po dyskretnym najpierw zrelacjonowaniu prokuratorowi Śnieżce o miejscowości Zawołzski i o efektach prokuratury w trakcie tego spotkania wywołał mnie, że tak powiem, do głosu, pan Młodziejowski teraz przekaze informacje, jakich jeszcze dodatkowych ustaleń dokonano. I to już zresztą o tym wszystkim mówiłem, jak to było dalej z realizacją, ku ostremu niezadowoleniu gospodarzy. – Rozumiem, że w Miednoje, w przeciwieństwie chyba do Katynia i do Charkowa, nie odnaleziono grobów obywateli sowieckich? – Nie. Sowietci chowali swoich pomordowanych też na tym wielkim terenie ośrodka wypoczynkowego NKWD w Miednoje, ale były to groby wyraźnie zdystansowane terytorialnie od tego kawałka, na którym leżeli Polacy. Z tego, co mi mówiono, to tam może leżeć około 25 tysięcy pomordowanych Rosjan, obywateli Związku Sowieckiego. Wobec 6305 Polaków, co wynika z dokumentu. Ja nie miałem możliwości zrobienia dokładnej ewidencji ilościowej, choć zakładałem razem z panem Taradejko z Polskiego Czerwonego Krzyża numeryki identyfikacyjne, one tam są, ale przy tak przemieszanych zwłokach i w tak daleko posuniętym rozkładzie gnilym nie było mowy o dokładnej analizie osobnik do osobnika. Ale szacunek z punktu widzenia szacowania liczb związanych z pojemnością jam, głębokością, ilością warstw daje nam prawo przyjąć, że zostały ujawnione jamy grobowe ze szczątkami zwłok wszystkich pomordowanych przetrzymywanych w obozie w Ostaszkowie. – Wspominał pan też teraz o członkach Polskiego Czerwonego Krzyża. Oni uczestniczyli w pracach sondażowych... – Tak, i w pracach śledczych. Pani Elżbieta Reiss była w 1991 roku i w Charkowie, i w Miednoje. Potem już, ponieważ ona była kierownikiem Biura Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża, już tam nie przyjechała, ale delegowała pracowników. Ja miałem właśnie ten zaszczyt, że pan Taradejko pracował w 1994 i w 1995 roku. Podobni przedstawiciele upełnomocnieni byli na pozostałych odcinkach. Byli też, nie wiem, czy formalnie, członkami pana ekipy dokumentaliści. Tak, ale oni się rekrutowali przede wszystkim spośród funkcjonariuszy. Rzecz była tak przygotowana, że każdy miał dokładnie wyznaczony zakres swoich obowiązków, z którego musiał się na zakończenie dnia rozliczyć. Rozliczenie cząstkowe wszystkich członków ekip powodowało, że ja tam gdzieś o pierwszej, drugiej w nocy kładłem się spać, bo musiałem przygotować raport dzienny przed rozpoczęciem kolejnej pracy, tak żeby się nie spiętrzała praca i do-

kumentacja. Póki dokumentacja nie była zamknięta dla danego dnia, nie było mowy o tym, żeby był odpoczynek. Jak miałem wątpliwości co do dokumentacji sporządzonej częściowo przez poszczególnych członków ekipy, no to mieszkali zaraz pokoje sąsiednie, puk, puk, puk, „przyjdź no do mnie na chwilę. Jak to wygląda?” – „O przepraszam, tu się pomyliłem” – „Skąd wiesz, żeś się pomylił? Czy dlatego, że ja to znalazłem? Jakie były okoliczności? Proszę napisać wyjaśnienie”. To znaczy było to dokładne i takie bardzo upierdliwe rozliczanie. Ale oni się szybko do tego przystosowali. Oni zrozumieli, że to nie jest moje widzimisie, ale że ten wytworzony przez nas materiał będzie jedynym, który za lata, dziesiątki lat będzie materiałem źródłowym. Już nie da się odtworzyć wielu rzeczy, bo pamięć ludzka jest zawodna. – Byli też obecni filmowcy podczas prac ekshumacyjnych. Jak pan traktował obecność kamery? – Była ekipa z Polskiej Wytwórni Filmowej pana redaktora Józefa Gębskiego. Oni byli w 1991 roku z nami. Oni nas podglądali w pracy, robili to jednak w sposób niezwykle kulturalny. Myśmy na początku nie byli przyzwyczajeni do tego, że raptem się pojawia obiektyw kamery o 15 centymetrów od pańskiej twarzy. On rejestruje każdą mimikę. Reakcja mimiczna człowieka na zewnętrzne zdarzenia nie jest nieruchoma. Mamy trzydzieści parę par mięśni mimicznych, które wyrażają nasz stan emocjonalny. Są nawet specjaliści, którzy podobno czytają mowę ciała. I coś w tym jest. Redaktor podglądał nas. Redaktor zrobił i zmontował najpierw jeden materiał, potem zrobił drugi materiał, ale tak jak mi powiedział, tego materiału jest tak wiele, że można byłoby obdzielić co najmniej kilka archiwów. I tak naprawdę, gdyby Polska Wytwórnia Filmowa miała wolę udostępnić wszystko, co zostało nakręcone nie tylko firmie Instytutowi Pamięci Narodowej, było bardzo dobrze. Bo myśmy mieli swoich dokumentalistów. Przede wszystkim pana Załęskiego. – Ale to tylko fotografia. – Ale to była fotografia. Nie było rejestracji filmowej. Tymczasem właśnie ta ekipa zrobiła wiele, wiele dobrego. Potem przyjeżdżali do nas również inni filmowcy z telewizji. Zazwyczaj to były wizyty dwudniowe, parogodzinne. Przyjeżdżali nasi rodacy z Ameryki, jak to się mówi, żeby popatrzeć i przekazać, co się tam dzieje. Byli tacy, którzy tam coś sobie przywłaszczali ze szczątków ludzkich, traktując je oczywiście z całym nabożeństwem, żeby zabrać, żeby pokazać. Człowiek ma w sobie coś takiego, że postępuje nieetycznie, wie o tym, ale tłumaczy to wyższą koniecznością. Ja wspominałem o tych trzech czaszkach księdza prałata, prawda? – Poza kamerą. – Poza kamerą. To wspomniały człowiek. Ja przyznam szczerze, że też byłem zdziwiony, dlaczego on sobie mnie wybrał. Myśmy zakończyli prace ekshumacyjne, a ja jeszcze pół roku przed jego śmiercią byłem kolejny raz u niego w mieszkaniu tuż przy katedrze warszawskiej, gdzie ksiądz prałat zapraszał mnie, wręczał mi swoje książki z dedykacjami, mam ich całe mnóstwo. Pomagałem mu drukować te książki, wykorzystywałem rodzinę i znajomości, żeby ktoś się zgodził na wydrukowanie książki bez konieczności wnoszenia opłaty. Są jeszcze ludzie dobrej woli, którzy rozumieją, że tutaj nikt nie robi biznesu, tylko dokumentuje to wszystko. Ale też się tam coś właśnie takiego dziwnego stało. Nigdy do Ameryki te czaszki nie dotarły i pozostały w kraju. Powinny być na dobrą sprawę złożone tam, na cmentarzu. – Czy pan wie, w którym miejscu one się teraz znajdują? – Ja je przekazałem ówczesnemu dyrektorowi Muzeum Wojska Polskiego. On na protokół to wszystko przyjął, powiedział, że będzie się zastanawiał, co dalej z tymi szczątkami zrobić. Gdzie one są w tej chwili, nie mam pojęcia. – Z tymi szczątkami rzeczywiście też jest sprawa zagadkowa, bo przygotowując się do tego wywiadu, też znalazłem informację, że w szkole policyjnej w Szczecinie... – Tak, ale to jest wypadek przy pracy. To jest totalny wypadek przy pracy. Nikt z nas nie przypuszczał, że szczątki, które rzeczywiście tam były złożone na polecenie prokuratora Śnieżki... że wydając te szczątki do przewiezienia odpowiednio do Charkowa, do Miednoje, bo to o te dwa odcinki chodziło, skrzynka, która wyglądała jak skrzynka amunicyjna, chyba z ośmioma czy z dziesięcioma czaszkami z Charkowa pozostała w szkole policyjnej. Nie została wydana. Ja tam po te szczątki nie jeździłem osobiście. Delegowałem swojego zastępcę, generała, bardzo przyzwo-

itego człowieka, on tam pojechał, załadowali żołnierze skrzynki do samochodu, przewieźli do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a jedna skrzynia pozostała. I gdyby nie to, że doszło do, w dziwnych okolicznościach, śmierci magazyniera, to ta skrzynia z tymi czaszkami leżałaby nadal. Bo magazyn uzbrojenia to skrzynie z amunicją, z bronią. I ta skrzynia gdzieś tam leżała poukładana w stosie skrzyń. Po śmierci magazyniera trzeba było zrobić dokładną ewidencję tego wszystkiego, co tam jest w rzeczywistości, spis z natury. No i znaleziono czaszki. – I zdaje się, że one akurat wróciły, tak? – One wróciły, tak.